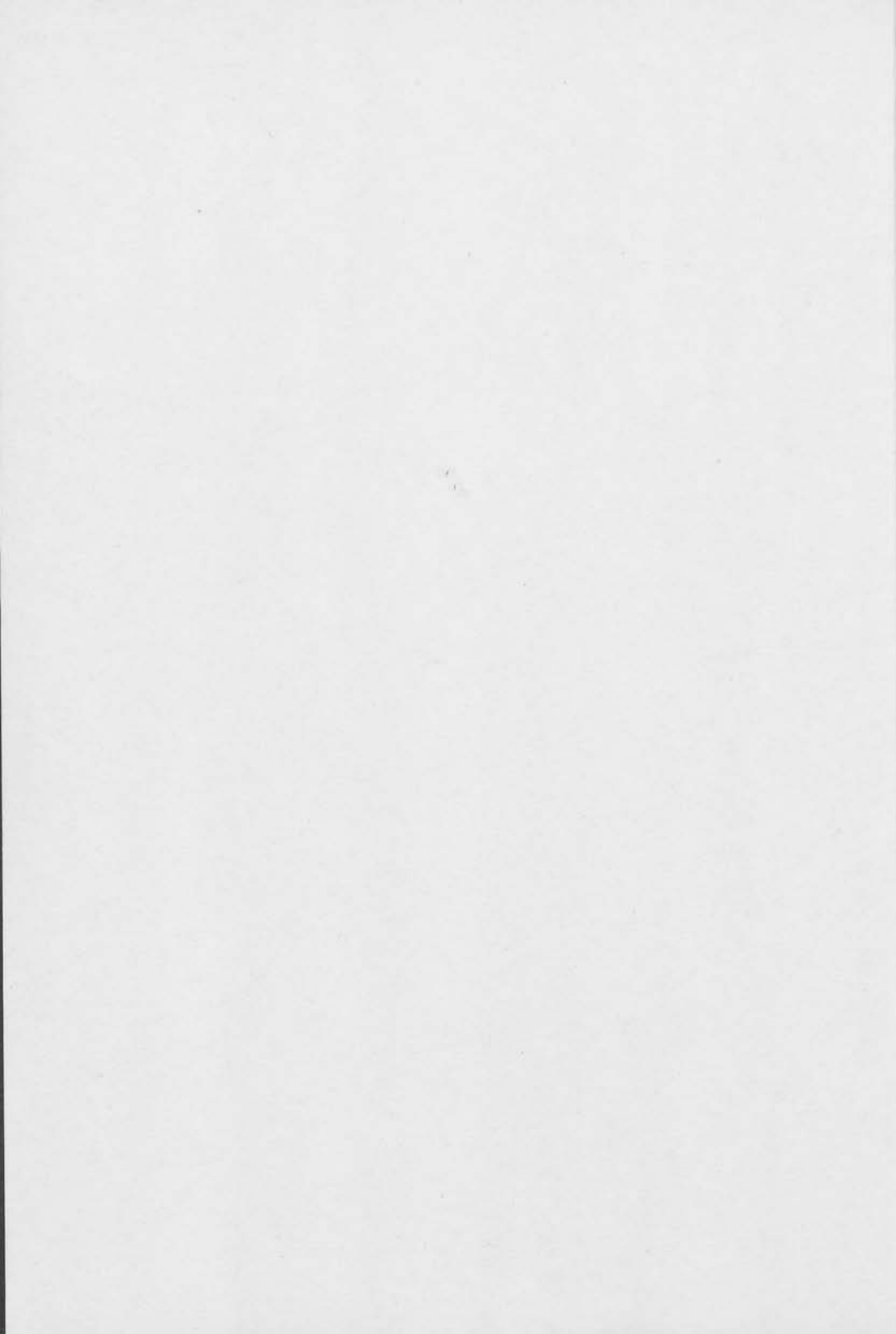


Wiesław Stanisław Ciesielski

Oblicze Anioła





Wiesław Stanisław Ciesielski

Oblicze Anioła

Mojej córce Dorocie



WROCLAW 2006

C Reg
82



196759

821.162.7-1

FLETNIA PANA

Przepowiednia czasu mego jest jak
fletnia Pana,
na nic najszlachetniejszy instrument,
gdy nie potrafisz na nim zagrać.

Przepowiednia czasu mego jest wąż,
jak przekwitający kwiat
i chociaż znaki krzyczą,
to jednak wszyscy pozostają głusi.

Można zebrać grając na fletni Pana,
w przejściu podziemnym do innego świata,
lecz nie ma innego świata. Jest tylko
zbyt długi cień jak na odchodzące życie.

Przez wiele lat odkrywałem prawdę
raniąc się dokuczliwą obecnością Słowa,
jego samotnością.

Skazany na zapamiętywanie,
na codzienne paktowanie z życiem,
na budowanie wspianego świata
tym lepkiem budulcem jakim są iluzje.

Między następnym słowem i jeszcze następnym,
dokonam najbardziej godnej mistyfikacji,
urządę śmierć jako widowisko umówione,
między mną a zwykłą pomyłką.

I w przejściu podziemnym do innego świata
zagram kołysankę na fletni Pana.

Przepowiednia czasu mego jest jak aspiryna.

OBLICZE ANIOŁA

Anioł na cmentarzu na Rossie
odprowadza wzrokiem żyjących...
A Polska - milcząca Wisła.
Mająca swoje źródła na dalekim Kazachstanie,
a odpływ w dzisiejszych czasach,
na stole chirurgicznym,
amputacja polskości, wyrwanie serca.

Dla tych, którym czas Ojczyzny się zatrzymał,
nikt orderów nie niesie.
Czekają na śmierć.
Skrzypieniem zawiasów, wieko skrzyni zamknęło
nie uporządkowane życie.
Pokonany przestrzenią, pokonany pragnieniem,
przełamany progiem domu.

Wszystko to, co na zewnątrz,
rozrzucone po świecie, nie da się zebrać.
Stukasz kołatką, oblicze Czarного Anioła
jest bliskie jak nigdy dotąd.
Otworzą i wpuszczą cię do środka
uporządkowanego wnętrza,
do wolności.

Nikt nie zwróci życia ludziom złamanym,
nikt nie zwróci życia tym, którzy nie dali się złamać.

OBLICZE ANIOŁA II

Zdobyłeś doskonałość dłoni budując
przestrzeń, która zaciska się wokół ciebie jak pęta,
to światło wschodu i zachodu czerwone od mrozu.

Zdobyłeś drewnianą koronę i fortunę tego świata,
słowa bez wartości, kamienny ukłon – poniżenie
i wolność, która nie rodzi się z nienawiści.

Dlatego schowajcie księgi mądrości,
słowa bezdomne i tak nikt nie potrafi ich czytać,
a w kapliczce z dłoni zapłonie lampka oliwna.

Wysłuchaj się w bicie serca, oprzyj czoło
o martwą ścianę, ten chłód to wnętrze kamienia,
które zamysliło się na śmierć.

Prawda nie jest na początku, ani na końcu drogi,
prawda jest wszędzie i dlatego jej nie ma.

Anioł, z zamkniętymi oczami,
trzyma łańcuch, żeby go zerwać
wystarczyło przerwać jedno ogniwo.
Anioł nasłuchuje naszego wołania.

OBLICZE ANIOŁA III

Zaczęty muśnięciem palców dom, z dnia na dzień
będzie się zrastał, pochłaniał coraz więcej ofiar,
uwikłany we własne szaleństwo powstawania
z martwych ruin, będzie budził do życia
zatechłe sploty cegieł.

Przez okna i drzwi zaczęte w źrenicy,
ślepe otchłanie, ten dom zawsze będzie istniał,
choć przybył z bardzo daleka,
znaczy dla mnie tak dużo a zarazem tak mało,
patrzę pod słońce – czuję gorzki grymas,
ten dom jest we mnie i nigdy go nie było.

Dlatego nie wstydz się płaczu na kolanach matki,
kamienie słów cię przytłoczyły, nagromadziłeś je,
zasiałeś i nie masz siły się wydzwignąć.

Nie wstydz się płaczu, gdyż nie ma takiej słabości,
takiego upokorzenia, którego matka,
by w tobie nie rozgrzeszyła.

Anioł zakrył skrzydłem grób pod samotną brzozą.

CAŁOPALENIE

Pozostawione dla fal nieruchome pale,
które w bezruchu poruszają świat,
owoce, które nie zdążyły dojrzeć.
Księga Wyjścia, dłoń trzymająca kostur
i złoty cielec z drugiej strony ludzkiej jaźni.

Ciągle przypływy historii,
otwieranie pożółkłych ksiąg, na chybił trafił,
wylosujemy potop, albo wojnę.
Odpływy synów i córek, morze w milczeniu
zaślubin, solą i krwią.

Ziemia obiecana, na krańcach kamiennych bloków,
zielone zbiorniki życia, kontenery odpadków,
śmieci, utraconych nadziei.
Tabuny dzieci świata, przygarbionych staruszków
grzebiących we wszechświecie dobrobytu,
od których tylko psy nie uciekają.

Pchają wózek dziecięcy, z przegniłym drewnianym
krzyżem z pobliskiego cmentarza,
aby wskrzesić odrobinę wątłego ciepła
w żeliwnym piecu, w starym betonowym bunkrze,
aby ogrzać strzępy chorego na życie serca.

A JEDNAK ŻYCIE...

Tutaj umrzeć...

Nurt Wilii dzieli pamięć

jak serce, na dwie połowy.

Płomień świecy tłący myśl, wydostać się
z zasłony rąk, niech spopieleje twarz.

Tutaj umrzeć,

gdzie słońce podnosi z ziemi blask zranionej
świecy, gasnącą nadzieję życia.

Jakie imię nadam ci synu zrodzony z płomienia?

I gdy zapatrzyłem się w to swoje życie,

zapomniałem jak bunt rozsadza ciało,

jak puchną dłonie,

oczekuję przyjaciela, aby powiedzieć,

że wszystko po staremu, ta sama kobieta

w moim życiu, w moim domu.

Zapatrzyłem się i ktoś mnie ominął,

otarł się o ramię, lecz nie mógł mnie pamiętać,

on nigdy się nie urodził – ostatni potomek wrażliwości,

synu – krzyczę za nim,

moje ręce nawykle do pracy,

wracaj szybko z podróży dookoła świata.

Tutaj żyć...

Nurt Wilii łączy pamięć.

Wilno, 13 maja 2005

W CELI KONRADA

Jest taki czas, taka chwila,
taka wieczność,
że wszystko jest takie jak ma być,
cały świat jest jak przed wymieszaniem
w kalejdoskopie
i ludzie są tacy znajomi, i dobrzy.

Cuda nie potrafią zastąpić
naszej wolnej woli,
naszego wyboru, naszego bólu
i dlatego, gdy patrzę pod światło
zmruczonymi oczami wyęzając wzrok
wiem jedno, a potem drugie i trzecie,
to znaczy nic nie wiem.

Jest taki czas, jest jedna strona,
świat ma jedną stronę,
oszust i złodziej ma jedną twarz,
żadnych kart nikt nigdy nie znaczył,
tylko strony mają cztery razy tak,
jak komedia słów grana przed śmiercią.

Stracono. Ucięto tamte trzy strony światu,
nikt nie przyznał się do podwójnej gry
i wszystkich cieszyły znaczone karty.
Tymczasem ziemi
niepotrzebne są żadne wymiary,
to tylko człowiek chce być królem.

Jaki czas, taka wieczność...

WILEŃSKIE RUINY

Falszerze sumień, głód w waszych ciałach
trawi każdą myśl, każdą sekundę trwania,
lecz czym jest reszta?

Mieszkamy w czynach,
co nam nie wybaczą nigdy obecności
w locie kamienia, w ślepym ciosie.

Rozstajemy się z każdym dniem,
jak z brudną koszulą.
Twarz niewątpliwie obecna, lecz oczy
odległym ptakiem szukają spełnienia pragnień.

Dokąd biegiesz?
Czy znasz chwilę, w której wypełnia się życie
i wieczność kamienia?

Jesteś głodem czy słowem, może śmiercią,
podbiegam tak blisko, że czuję,
jestem człowiekiem.

Jakże to wielkie, usłyszeć głos umarły
w kamieniu, gdy przyłożysz ucho
cicho gra doskonałość.

CZAS PRZESTAŁ ISTNIEĆ

Ziemia wstrzymała oddech, czas się zatrzymał.

Przyjęły mnie bezimienne ręce, usiadłem przy stole,
wiatr pogryzł drewno, niedobry pies, a w sadzie owoce,
otwarte usta na pragnienie, strącone bezsennością.

Trzymając daleki różaniec, układałam pierzynę na łóżku,
siadam na brzegu skrzypnięcia – jedyny nasz język.

Czas przestał istnieć.

Czy to znaczy, że jestem już bardzo stary?
Godziny tylko ocierają się o mnie.

Czy może jestem niepoprawnie młody?
Uciekam przed niemiłosiernym przyciąganiem ziemi.

Czas przestał istnieć, gdy byłem pośrodku,
między tym co nie doczekane, a tym,
czego nie da się powtórzyć.

W ŚRODKU SAMEGO SIEBIE

Opadają dojrzałe owoce, tak jak opadają dojrzałe
z nienawiści kamienie, jak koń o przykróconej uździe
wynosi dumnie głowę, tak dudni we mnie pociąg,
który nie zaczekał na umówionej stacji.

Sztylet błyszczący w ręku Hamleta.
Obłąd błyszczący w oczach.
Dokąd uciekamy z rodzinnego teatru?
Komu porzucamy ojcowiznę?

Patrzę na dłonie, w których zabrakło rekwizytu,
aby dalej toczyć ten dramat. Wschodzi obnażone słońce,
wypalając pustynię naszych przemilczeń, opuszczam
ciepły jeszcze cień, bezpowrotnie.

Miękkość ramion w tańcu motylim,
zielone winogrona na poletku ciała,
horyzont brzaskiem trafiony jak nożem,
wszystko nabrzmiało potokiem słów i znaczeń.

Gdy umrę, jaki ciężar dane mi będzie dźwigać?
Czy to wszystko, co uniosłem za życia,
będę musiał odłożyć z powrotem?

Porzucony w środku samego siebie, nigdy nie będę
ptakiem, mogę być tylko kamieniem.
Mogę być jeszcze aniołem, ale nie wiem,
co na to powie Stowarzyszenie Aniołów?

OKOLICE SERCA

W okolicach mojego serca jest miejsce
na nakłucie stalówką. Plama niebieskiego
atramentu z punkcikami gwiazd.

W okolicach mojego serca
jest ściana płaczu. Któż za nią stoi?
Nasłuchuje skarg.

W okolicach mojego serca
jest wielka cisza, ktoś tylko puka do drzwi.
Kosturem zakłóca milczenie sumienia.

Kolejny dzień spojrzenia za siebie,
gdy gaśnie ogień czasu minionego,
a tutaj, ciepły pokój, moje krzesło wierne ideom.

Jeden po drugim łyk wystygłej kawy.
Dokąd odchodzisz
utracony dniu?

KRÓLOM CZAPKĘ

Koronę mi założą jesionową,
ostruganą po sam mięsień serca,
słoje się kładą całym moim życiem,
tak mi blisko i daleko nieba.

Korona głowę moją przyozdabia
cierniem i ogniskiem w mózgu.
Tętni odwieczny przepływ pragnień,
aż runie nietrwale tworzenie.

Jestem królem, jestem klaunem
z czapką naciągniętą na uszy,
z jesionowym ciałem,
wiecznym życiem i wieczną śmiercią.

Żyjemy wszyscy na przedmieściach,
królowie i żebracy, dzieci Boga,
pałace naszych dobrych chęci,
zgliszcza naszych czynów.

RANY ZIEMI

Chleba naszego, powszedniego –
dałeś nam drożdżową miazgę,
muskul serca, abyśmy ciepło ugnietli,
tętniącą nadzieję przetrwania.

Sypiesz ziarnem w ugory nasze,
ciężkim i twardym jak słowa
wypowiedziane szczerze, jakąż wzrośnie
z naszych jądów pszenica.

Chociaż kroplę wody spragnionemu
ptak przyniósłby w dziobie,
lecz gniazda spłonęły o świetle
jednym tchnieniem światła.

Chleba naszego, powszedniego –
dałeś nam drożdżową miazgę.
Rozdrapujemy rany ziemi, aby na nowo
zasiać. Ożywić prochy wiecznego życia.

LIRYKA LIŚCIA

Unoszę się na wietrze, lecę,
nad cyrkową areną, trapezem rozbujany...
Ja liść lecę.
Oswaja mnie bezkształtny spokój
cichego domu
i milczenie, którego się uczę,
aby święcić każde słowo
będące rzeczą na każde istnienie.

A mimo to prawdziwą samotność
daje nam tylko godzina śmierci,
jak niebo okrojone ziemią,
kona przez całe trwanie,
tak człowiek ziarno głuche i ślepe,
na przekór sobie
ma swoje życie,
wątłe, jak pajęcza sieć,
na zbyt wielką ofiarę.

A mimo to przenikam na powrót
obcy ten świat aż do nieba ważności.
Moja tożsamość otwarta,
wybiegam ze sprzeczności.

Może koniec jest prawdą, logiką nieodwracalności,
a mimo to liryka liścia wypełnia arenę.

PRZEKROCZYĆ PRÓG

Na progu,
między tym co było, a tym, co będzie,
są nasze twarze w maskach bólu i śmiechu,
zastygłe jak droga, po której kroczymy.

Na progu,
posypanym popiołem ze spalonego kadzidla,
ani iść naprzód, ani się cofnąć.

Kto rządzi tobą, życie?
Pokosem legły promienie słońca.
Kto rządzi tobą, druga strono księżycy?

I musiał z konieczności się wyrzec tego,
że leży na szali wagi. Co nim tak miota,
aby pogrążyć pokój swoją osobą. Od drzwi
do okna, wyrzeka się słów na rzecz milczenia,
ważony wraz ze swoimi grzechami.

Męczą nas nasze gesty, ciepłem dłoni
rozpalają w nas wspomnienia,
usypiamy odpływem krwi, lecz oczy wierne
treści życia otwierają świat, odkładając winy.

Chociaż krok mu słabnie,
na progu życia i śmierci unosi ramiona do lotu,
głębiej o ostatni dół, dalej o ostatnią gwiazdę.

CEL

1.

Ptak, to nie tylko symbol, to miara czasu,
to miara wolności, na strunie wiatru życie,
napięte do strzału.

Dwa skrzydła jak wszechświat, mały punkt,
jedyna znajoma gwiazda, biegnę wzdłuż brzegu
morza zranionego odległością między nami.

Jesteś punktem, w którym wszystko się zbiega.

2.

Czy znam wszystkie te jesienne plaże,
opuszczone i zimne, z rozrzuconymi śmieciami.

Z pewnością znam dwie lub trzy, gdzie korzenie
transportują drobiny wilgoci w konary sosen.

Twarz nastawiam na wiatr od morza, czuję się silny,
gdy widzę jak dziecko puszcza latawiec.

Słyszę odległe odgłosy poligonu,
obserwuję ledwo widoczne błyski na horyzoncie.

Chory elektrokardiogram zapisuje ostatnie
odruchy świata.

3.

Powstać i natychmiast ulecieć. Z łoskotem
uderzyć w nieboskłon. Nikt tak cicho nie leci
jak upadły kamień, o skrzydłach dotkniętych mchem.

Przydrożny ptaku ulatuj, nie zostawaj tutaj ani chwili
dłużej, tam czeka na ciebie wolność przestrzeni,
miliony ton powietrza. A tutaj każda piędź ziemi zajęta.
Nawet na grób nie starczy każdemu.

Ptaku, uleciałbym z tobą, lecz brakuje mi ostróg.

MIGOTANIE PRZEDSIONKÓW

ZŁUDZENIA PIONOWE

Ujarzmili galopu tętniącą krew, stygnący w żyłach trupi sens,
odwagę tłącą się powoli, jak twarz wyrwana z gazety,
nierówno, z licznymi szramami i dziurami,
tli się tak niewidocznie, że i popiołu nie będzie na tyle,
aby zrodzić, powstać, ulecieć...

Nikogo nie wzruszy odwaga, skamieniały w powietrzu
świst bata, zawieszony nad głową tętent konia,
patrzę w ślepią rozpedzonej drogi, łamanie wiatru
ziemią wstrząsa, te wydłużone cienie za chwilę się wypalą,
w pół słowa milknę, w pół drogi przystaję,
gdzie wiatr za mną błądzi, gdzie błądzę wśród swoich
i niczego nie zmieniam... Nic nas nie trzyma na tym świecie

ZŁUDZENIA POZIOME

To, co mnie nagle zaczyna otaczać, dziesiątki cieni
z wyjątkowo zaostrzonym spojrzeniem
jest rachunkiem sumienia, niewyraźnym uśmiechem.
Zaczynają wewnątrz i poza mną poruszać się za ruchem ciała,
starają się dopaść każdy gest.

Sarkofagi stoją w szeregu.
Przychodzi pijany błazen w czapce, chce być królem.
Gdybym do końca przejrzał ten dziwny plan natury,
rychle szczęście, ów błogi czas
i ten gwałtowny, ten wspominany, przeklinany.

Otwieram najbliższej stojący sarkofag, wydobywa się śmiech,
w drugim płacz i lament, w następnych przemówienia,
konstytucje, wyroki śmierci, błędne diagnozy,
powstaje bełkot.
Rozbijam ostatni sarkofag, w którym tylko pustka.

To, co mnie nagle zaczyna otaczać zawsze we mnie tkwiło.

REANIMACJA

To, co w tobie życie złamie, po stokroć się zrośnie,
lecz to, co byś zniszczył wokół siebie, nie odbudujesz nigdy.

Pod narzuconą warstwą ludzkich powiązań
przetrwają ciemność swojego wnętrza, słowa i czyny.

A gdy z twoich rąk zostanie już tylko ziemia,
z twojego spojrzenia blask świateł,
zrozumiesz, że twoje zasługi w proch przemienione.
Na nic reanimacja nieboskłonu.

Cień krzyża wrasta głęboko w ciało.

KRÓLOWIE ŻYCIA

Chłód mnie ogarnia, chłód mnie przenika,
abym mógł docenić żarzący się ogień
w sercu.

Niebem, chlebem, kamieniem...
Tej nocy byłem w ciągłym pogotowiu,
tylko płaszcz narzucić
na plecy.

Słońcem, deszczem, miłością...
Zasłuchałem się w drzenie dłoni
Gotowej do uniesienia
szklanki wody.

Ustami, pocałunkiem, nadzieją...
Wzdłuż drogi drzewa raniły niebo.
Nie wiedziałem, kim jestem, cieniem
czy płomieniem?

Szczęściem, bólem, wiarą...
Na całym ciele drżałem,
domy nieskazitelnie wypełnione
trwaniem.

Życiem, cierpieniem, śmiercią...
Na skinienie przywołani królowie życia
Tej nocy spłonął ostatni nieboskłon.
Świat umiera z pragnienia.

LIST DO SYLWII PLATH

Droga Sylwio,
wiem, że rozebrałaś się do śmierci,
lecz cóż to jest śmierć?
To tylko opuszczenie ciała.
Zrobiłaś więcej, obnażyłaś duszę
i tak ogołocona, naga,
przeszłaś na drugą stronę
jako Lady Łazarz.
Spoglądam z niepokojem
w stronę twojego wiersza
i ten niepokój narasta, potęguje dramat.

W dniu twoich urodzin
słyszałem z ciemności:
Tak, tak Herr Doktor,
tak, tak Herr Boże, Herr Lucyferze.

Z niepokojem zagłębiam się
w twoje niebo.
Droga Sylwio, rudowłosa Aniele,
znów to zrób
i ja to znowu zrobię,
dotkniemy pustego miejsca
po wierszu.

LIST DO SYLWII PLATH II

Droga Sylwio, nie słyhać już wiatru,
spóźnionych eksplozji, pękających fal,
nie ma niebieskich lasów, błysków
a twoim obnażeniem jest pościel,
starannie ułożona, oczekująca,
utracony wymiar, poczęcie.

Pamiętasz ostatnią zimą,
zastygający żywioł jakim jest morze,
ogromne lodowate drzewa.
Gdy dotknęłaś twarzy
przeraziło cię to śmiertelne ciepło.

Huragan z nieba uderzył,
jak skrzydło ogromnego ptaka,
lub bomba o nieokreślonej sile.
Ptak wyrastający z atomowego grzyba,
jak starzec z długą siwą brodą,
wyrósł ze środka ziemi.
Gdy przyłożysz ucho - słyhać
przyspieszony tętent koni.
Serce wszechrzeczy ucieka przed
samym sobą, aby nie spotkać ludzi,
aby ślady, które zostawiamy za sobą,
nie wyprzedziły naszej chęci trwania.

Droga Sylwio,
ten czający się krzyk mieszka w tobie,
czeka, aż doszukasz się obecności.

Najważniejszy na świecie jest ból,
on rodzi nowe życie,
poza bólem jest tylko pustka,
błękitna, purpurowa i nic więcej...

LIST DO SYLWII PLATH III

Droga Sylwio,
zawsze ogarnia mnie ten sam niepokój,
gdy ze skowytym zatrząskują się drzwi,
mam wrażenie, że są niepowtarzalne,
że za każdym razem robią to inaczej,
jakby nigdy nie miały własnego oblicza
i z innym jękiem krzyczą za mną – żegnaj,
są tak bezimienne,
że o nic nie mogą być oskarżone,
za sobą zamykają tylko przestrzeń,
załamują tylko światło,

lecz gdy czuję rdzawą klamkę,
nie muszę wypatrywać w ciemności
ukochanej, nie ma jej,
uciekła przed wściekłym ujadaniem
chorych na wyobraźnię drzwi.

Po tych, których mijam bezpowrotnie,
zostają zawsze twarze,
ich bezimienne oblicza, na tyle obecne,
że nie potrafię żyć bez nich,
choć głuche i nieme jak zwierciadła.

Droga Sylwio, zamknęłaś kolejne drzwi,
zranione odległością między dwojgiem osób.
Bezpowrotnie odeszła jedyna miłość.

Czy ktokolwiek może mieć pretensje,
że nie potrafiłaś żyć bez miłości?



STUDIUM PORTRETOWE

*szklanka Martini (obyda),
saszetka Pyralginy produkcji chińskiej,
zapalona świeczka o zapachu lawendy*

Madam Ela jest twierdzą
nie tylko dla orłów.

Madam Ela jest delikatna i kokieteryjna,
gdy rozgląda się za nowym adoratorem,
nikt nie wie po jakiego diabła.

Madam Ela, stojąca na tarasie
portu lotniczego New York
z dwiema wielkimi walizkami,
wygląda jak Boeing
z odrzutowymi silnikami,
za chwilę odleci.

Madam Ela toczy spór z brodatym poetą
o trzecim wymiarze iskry bożej
migającej w poezji.

Madam Ela przez chwilę była nieruchoma,
abym utrwalił fleszem chwilę,
która trwała tak krótko, że nawet
nie zdążyła przeminąć.

Madam Ela jest piękna,
nawet w ciemności.

MIŁOŚĆ DO ARTEMIZJI

Artemizjo, ujrzałem cię pierwszy raz
w British Museum.

Ta wygaszona w oczach miłość do Manzolosza
jest jak lampki, w których zabrakło oliwy.

Być może stoisz w kondukcie żałobnym,
być może stoisz na brzegu morza
i patrzysz w przeszłość wspominając pieszczoty,
gesty, słowa.

Liry, harfy i hymny żalosalne slychać wokół.
Tylko strażnik w starannej liberii z pewnością
nie będzie już twoim kochankiem.

LIPOWY CHRYSZTUS

Prawdziwa wiara nie ulega złudzeniom.
Chociaż nie ma prawdziwej wiary.
Jest tylko nasze wyobrażenie świętości.
Kulawy anioł i reumatyzm w skrzydłach,
i kula u nogi, żeby nie odlecieć.

Wszyscy poddajemy się procesowi rodzenia słów,
nowej generacji bękartów prawdy,
tylko ułomność ma naturalną potrzebę
dążenia ku doskonałości...

Dlatego milczę. Świat nie upadł tak nisko,
aby nie można go było zobaczyć
z kolan, z tej pokornej pozycji.

Nade mną kona lipowy Chrystus.
Czyjeś życie zamarło
w ostrych pociągnięciach dłutem.

SMAK MORZA

Poprzez sierści słonej posmak,
krople na piersiach suszone wiatrem
i łuski patroszonej ryby w twoich włosach.

Wydłubujesz końcem noża oczy,
rozcinasz odbyt, aż po skrzydle.
Wypadają wnętrzności.
Bierzesz następną, tysiące istnień.

Ta twoja słona miłość,
gdy wargi szukają pocałunku,
tej tajemnej wzajemności.

Zatracona na porzuconej plaży końcem sezonu,
czekasz, aż horyzont zaboli i zakołysze
zaginionym kutrem,
aż zakrwawi patroszony zmierzch.

Pale boleśnie wbite w dno,
oczekują po tobie przyływu i odpływu,
brzemiennego dopełnienia,
słonej miłości smak.

NEGATYW

Na tym świecie nawet nieboszczyk kłamie,
udaje, że tylko mu się śni,
że ciemność wokół to tylko awaria elektryczności,
że głuche milczenie, to taki rodzaj kontemplacji.

A gdy dotrwam już do ostygnięcia,
aż do zeszywnienia,
wtedy kruk, co oka nie wykole,
nadleci wiecznością,
nadleci nicością.

Ale dzisiaj umierania nie będzie.
Dzisiaj będzie rodzenie i życie,
kwitnienie, bzyczenie, miodu zbieranie.
Ale dzisiaj stygnięcia nie będzie.
W słońcu rozkładasz swoje róże
i nawet kolce niestraszne będą,
pieszczoty klucia kropelkami krwi,
jak gwiazdy na białym prześcieradle.
To taki negatyw świata.

I być może nigdy nie rozwikłam...
Jak do nieba daleko mają ptaki,
jak daleko do nieba mają kamienie.

ŹRÓDŁO

Przyniosłaś mi garść źródlanej wody,
czytałem twoje dłonie.

Byłem pewien, że być z tobą,
oznacza gasić pragnienie.

Jednak z drugiej strony twojej twarzy
odszukałem lot ptaka.

Strumień drażył granitowy kamień,
głodził jego starcze czoło.

Zaczerpnąłem garść wody
i piłem do dna gorzkie żale.

Nagle głuszcę poderwał się do lotu,
on też pił wodę.

PTAK W ŻRENICY

Twój o ścianę rozbity cień.
Odwinęta z pościeli, obnażona po żywą tkankę czasu.
Odszukuję w tobie wzruszenie, rozchyleniem warg,
nikłe słowo, klejnot bez wartości.

Wychylamy się z okna, aż do krzyku ziemi,
aby odnaleźć nasze twarze poza światem.
Wysoko leci ptak w żrenicy. Jesteśmy jak żdzibła trawy
na gniazdo, a może jesteśmy całym drzewem.

Nie szukam krzesła. Wszystko już przygotowane.
Twarz pochylam. Patrzą, ten biały obrus,
to wymiecione oddaleniem ptaki. Ten biały obrus,
to twoje ciało poprószone promieniami słońca.

BLISKO SIEBIE

Nikogo jeszcze nie słyhać, nawet zegar
beziemiennie odmierza czas, jesteśmy blisko
siebie, nie mamy gdzie się podziać, nasze
ciała poziomo krzepnące purpurą.

Pamiętam czarny las i niebo gdy pękło.
Rozdarłem ten skrawek, aby mógł narodzić się
dzień, nasze dziecko.

I zrozumiałem, że w tym krajobrazie jest żar,
nie jesienny, nie od zachodu słońca,
lecz od zieleni.

Splonęliśmy jak papierowe kwiaty, od nas
zajęły się chóry lasów, a przy przydrożnej kapliczce
staruszka zjadła śniadanie.

I dałaś mi dłoń, garstkę popiołu.

ŚWIĄTYNIE GŁODU

O zmierzchu rozżarzone światłem okna
przypominają o tysiącach ludzi,
żyjących swoimi troskami,
w kamiennych świątyniach głodu.

Wszystko, co wokół wpisuje się w moją twarz,
światlistą zmarszczką, cieniem zaczętego dnia, żyje.
Wybiegam, aby nie spóźnić się w ten wir przemijania,
aby trafić codziennie w miejsce sobie przygotowane,
wypełnić ciepły jeszcze cień.

Chodzę i pytam nieznanym, gdzie moje kąty,
stół na środku, dłonie niosące talerz
i twoja dobroć pełna gorącej zupy.

Wszystko, co wokół zamiera jak stracone chwile,
nadzieje wielkie, niedosięte,
wśród nich ja toczący ciągle zmagania,
gdzie jest mój dom?

Palce zatopię w miękkim mięszu,
garścią nasycę i odejdę, opuszczę ten głód,
który już mnie nie chce, pójdę dalej, ku innym,
nieznanym nikomu wyspom dobrych nadziei.

MIĘDZY NAMI

Nie mówmy o wielkiej miłości,
aby nie oszukiwać śladów na plaży,
krzyku ptaka wołającego o echo.
Morze cierpliwie przyjmuje wszystkie protesty,
jest głuche do szaleństwa.

Ciało twoje jest tak jasne, że tonę, staję się cięższy
od myśli, opadam jak kamień, lecz przecież jestem
kamieniem, na pewno nim jestem, żeby nie oszaleć.

Przychodzimy tutaj każdej nocy,
aby palić na wzgórzu nieopodal,
ogień ziemi obiecanej.

W której to godzinie, w którym roku
dotykam przymrużonych powiek –
siedzisz przytulona do mnie plecami,
przejmuje mnie twoje ciepło, zaczynam rozumieć,
że ktoś zostawił otwarte drzwi do naszej miłości.

A może jesteśmy parą staruszków
czekających na blade światło świec
i zapach kadzidla, tak doskonale
oczyszczający powietrze.

Między nami wyrosła, jak rzeka,
bruzda na twoim czole.

PUSTE STĄGWIE

Przyszedł do mnie Święty Franciszek.
Był ubrany w mój stary sweter,
który wyrzuciłem w zeszłym miesiącu.
Święty Franciszek jest kloszardem
grzebiącym w blokowym śmietniku.
Dlaczego ludzie tak go nazwali?
Być może dlatego, że do przywiązanego w pasie
sznurka ma przytwierdzony wielki, drewniany różaniec.
Co to jest, pytam? Mój telefon komórkowy...
Uśmiecha się tajemniczo.
Do rozmów z Panem Bogiem, dodaje.

Pragnienie ogarnęło całego ciebie,
wypełniło każdą myśl, oaza w której wyschło źródło,
puste stągwie drzemiące w cieniu,
dotykasz wargami kropli słowa: woda,
brzmi jak wyrzut
i nikt jej nie przyniesie
na pustyni twojego serca.
Brakuje ci kogoś, kto będzie ważniejszy
od twojego pragnienia,
oddasz mu ostatnią kroplę a on napelni stągwie.

I dlatego zastanawiam się, jakie to czyny
zostawiają na naszych twarzach, okrutne blizny?
Ułóż je na szali i miej odwagę podać sobie dłoń,
jeżeli to uczynisz, to jakbyś pocałował żebraka.

Widzę przez okno Świętego Franciszka,
skulony przy śmietniku, rozmawia z Panem Bogiem.

UCIEKINIER

Kim jest ten bezimienny uciekinier?
W samym sobie odnalazł kryjówkę,
zaciśnął pięści, trzyma za gardło
słowa protestu, które zgorączkowane
na wargach usiadły.

Ten ktoś jest w moich oczach, spogląda
na wolność, właśnie wschodzi słońce,
tak, że chcę wyskoczyć.

I gdy rzucono do stóp mokrą płachtę nieba,
przeżegnano strony świata, zaczęło się
życie.

Słysząc jak padają krople deszczu,
widać jak wznieca się ogień,
czuć wzrok tych, którzy nas obserwują.

Przyszedł czas, żeby podnieść z kolan
zesztywniały posąg, nauczyć go chodzić
i odpowiadać na uśmiechy.

Kim jest ten bezimienny uciekinier,
który we mnie zamieszkał
i ciągle ucieka?

KRZESŁO

Doskonałość czterech nóg i oparcia,
kulawe krzesło – pies kulawy,
prześcieradło sufitu okrywa bezład,
siedzę oparty bezwiednie, patrzę na ludzi.

Skrzypiące krzesło dla urojeń tylko
i szczeka na mnie wierny pies,
dudni drewnianą nogą w okno, otwieram.

Wokół zastygłe ulice, uśpione, gdzie tyle jest czasu
i powietrza, i obcy mi ludzie wchodzą we mnie,
gdzieś za mną odchodzą dalej,
obnażając tylko okna na świat.

Przewrócone krzesła. Pragnę znaleźć inne miejsce,
gdzie wiatr inaczej budzi ramiona do ruchu –
podnoszę na ostatnie cztery nogi mój ocalony świat.

WE DWOJE

Zapewne istniejesz, bo wiem jak cię nazwać,
tyloma słowami zniekształcone cienie,
słyszę jak podchodzisz do samej głowy,
otwarcie oczu uderzają fale.

Patrz... Ten bezmiar już kona.
Trawy nasycone słońcem ujmę dłonią,
to będzie najobfitszy udój,
mleka senny smak.

Przestronnym spokojem miasta
przedmioty chciały przemienić swoje ciała
będąc na wyciągnięcie ręki,
w oka mgnieniu.

Nasze usta obrane ze złudzeń,
udaje się scalić najważniejsze słowa,
które będziemy wypowiadać z głębi serca,
będziemy obdarzać je znaczeniem ciała.

I nawet gdy jesteś ze mną,
staram się rozpoznać
nieodparte ogniska
oczu.

PRZESUNIĘCIE WIECZNOŚCI

pamięci Jana Pawła II

1.

Ktoś mi rozmienił na drobne cały mój nieboskłon.
Świadkami niechaj będą klucze dzikich gęsi,
które tylko przelotem znaczą swe istnienie.

Tak człowiek, prowadzi ujadające psy.
Spytasz, kim jestem, gdy kurhan mi usypią?
Pisklę w gnieździe ogrzeję dłońmi, spojrzę za siebie,
podlatują, świergoczą, potrącają skrzydłami
wróble w gonitwie za okruchami chleba.

Uchwycę każdą ocalałą godzinę życia,
wypełnię pulsującą krwią.

Będę miał pewność, że nasze życie przyszło,
Bóg odbierze jak bolesny poród.

2.

Obszary peryferyjne mojego mózgu funkcjonują
doskonale, widzę odległy horyzont, widzę tył
własnej głowy, rozmyślam o kulistości ziemi.

Wydobywając skamieliny pragnień, przychodzi
starzec z kosturem, garścią wody zaczerpniętej u źródła,
uzdrowia nasze tępe pragnienia, naszą chorobę.

Albowiem, kostur do ręki syna przyrósł i skamieniał.

3

Kiedy mój światłoczuły dotyk odnajdzie usta,
słowo, które rodzi się jak dziecię w bólach.

Ktoś ukamienował moje słońce, że tylko wilgotny
zapach omszałych kamieni drażni mój mózg.
Po drugiej stronie, studnia. Echo dotknęło dna.

Kiedy obmyjesz moje oczy swoim światłoczułym dotykiem?
Ale tylko wtedy, gdy moja wiara będzie tak silna, aby mnie
uzdrowić. Twoje słowa, które usłyszę:
Idź, twoja wiara odnalazła światło.
Wiatr zamknął wieko Świętej Księgi. Mapy spopielił czas.
Wieczność przesunęła się o parę centymetrów.

MALUJĄC PORTRET NORWIDA

Usiądę wygodnie, przyjrzę się ostatnim
pragnieniom, chwilom zawieszonym
w powietrzu, którym zabrano pamięć.

Malując portret Norwida, wyjdę od środka twarzy,
aby czynom nadać znaczenie przemijania,
głęboko zapada się oblicze, patrzę w oczy.

W życiu przeszedłeś wzdłuż i wszerz
dalekość spojrzenia, to twoje dzieło,
rozdarcie między tak a nie,
a wstrzymuję się od głosu, to twoje dzieło.
A może zamaluję szczegóły twarzy,
tak, byś został tylko podobieństwem.

Żyłeś łaknąc choćby strugi światła,
która rozcinała martwy, ciemny pokój
przez dziurkę od klucza.
Twarz taka samotna, tak daleko jej
do rąk, nóg, tułowia, jest na końcu świata,
a słowa, koraliki różańca ucałowane
po stokroć, abyś w godzinie śmierci
głodu swego dotknął, doskonałości.

Pokarmem twoim słowa,
one śpiewają o wolności i zniewoleniu,
na zewnątrz tańczący ptak.

Twój portret łopocze skrzydłami Polonii,
na obcej ziemi, z drugiej strony
obojętnych spojrzeń lustra.

Nie rozumiem tylko...
Dlaczego nie piszesz już wierszy,
skoro jesteś nieśmiertelny?

ZWYCIEŻCA

Nikogo jeszcze nie słyhać, zegar
beziemiennie odmierza czas, rozpływają się
kształty w bezruchu. Poczucie strachu.

Gdy usłyszałem kroki, wiedziałem od razu,
że to ja sam runąłem w dół, w nieskończoność
nocy, aby potwierdzić własną obecność.

Obudziło mnie nagle pukanie do okna.
Czy to ty, przyjacielu chcesz zwierzyć się
nagim ścianom?

Mój cios zawiśnie w powietrzu, starcy
pokiwiają głowami. Ich siwe brody
będą jak rzeka w ciągłym nurcie.

Mój cios jak ślepy kamień, ugodzi
w sam środek słońca, aby zetrzeć w proch
tysiące cieni, ich żalobny orszak.

Ktoś puka do mojego mózgu,
wyteżam słuch, ktoś szarpie mnie za ramię,
zaspąłem na ostatnią chwilę życia.

Jutro będą następne, ostatnie chwile
i wiele ostatecznych.

TUTAJ

Tam na skraju ziemi roztrwonione dłonie
wznosiły modlitwy skazane na wieczność,
tam na skraju nieba była wielka cisza,
do nas tylko dotarły urywane słowa,
jak zeschnięte liście, myśli uciekały,
lecz czasami na krótko, aby oszukać ślady
istnień, czekałem, może nieznajomy zdobędzie
odwagę, aby podejść do ludzi, usiąść do kolacji.
Ogromną przestrzeń zagubiła nieskończoność
wymiarów stołu...

Tam na skraju ziemi wielkie bywają słowa i czyny,
tylko codzienność jest szara, nikt jej nie roznieci,
nie zapłoni. W szaleństwie kwiaty kwitną na wskroś,
jest takie bliskie i takie czule to barwne kwitnienie
nasturcji chorej na jesień, lecz w przebłyskach dnia,
gdy z deszczu obsycha rynna, tam na skraju nieba
otwieram okno, aby rozprostować skrzydła
moim tysiącom ptaków.

Tam na skraju ziemi, tam na skraju nieba, tutaj...
Czyli nigdzie...

DEFINICJE WIECZNOŚCI

1.

Aby zrozumieć definicję wieczności,
uchyl drzwi naszych odpływów w kosmos.
Wyrwana cząstka wszechświata.
Moje dzieci, jądra życia zasiane przez zmęczonego stwórcę.
Myśli przygotowały spisek.
Nie umiem poradzić sobie z tą nicią horyzontu.
Nikt nikomu nie dał odpowiedzi. Pytania też nie padły.
Nie było komu oderwać się znad pełnej miski.

Pełni czułości i tak dalej.
Ujęci w skróty albo w cudzysłów.
Odarci. Oczekujemy na przełamanie cienia.
Czy prezerwatywa daje nam prawo do miłości?
Następnym razem nie będzie następnego razu.
Tylko, dlaczego zostaliśmy odarci z naszych skrzydeł,
z naszej świętości?

Kto do ust włożył naszych surowe bluźnierstwa?

Ławica,
zgrzyt piasku w zębach i ten wrzask mew, rybitw, alek
wyszarpujących z mojego autoportretu drobiny oblicza.
A oto cisza jak kłamka zapadła. Całun albo wieko.
Pochowano starego boga w kropli bursztynu.

Młoda łania przybiegła do mojego snu
i tak cicho odeszła po spełnieniu nocy.

Odarte z mięsa, odarte z duszy, słowa.

2.

W jaki sposób dojrzała we mnie wiekuista martwota?
Jestem taki liryczny jak nieoszlifowany kamień.
Tylko cień jest ciągle żywy, rośnie maleje, gaśnie,
odradza się o świcie.

Widzę Antygonę grzebiącą umarłego. W tej masce lwicy.
O przeciągłym uśpieniu horyzontu kocim grzbietem.
Pazur rozpruwający niebo. Wypływa krew.

Czy Antygona była kiedykolwiek moją kochanką?
Tego już nigdy nie rozstrzygnę.

Przesilenie życia. Przełamanie milczenia.
Oratorski gest.
I teraz już nic więcej. Pustka za i pustka przed.
Świat na ostrzu.

Ciągłe wznosimy konstrukcje, rusztowania, dźwigary.
Za i przed.

Tylko życie tak kruche jak skrzydło motyla,
otarty pyłek rudej ćmy.

Poddane inwigilacji zachwyty.
Ujęte w kartotekach.
Posortowane na prawdziwe i na udawane.

Zagłębam się. Gaszę wiekuiste pragnienie.

3.

W czyich ustach słowo nabrzmiało jak pestka?
I gdy ci wszyscy mężczyźni na powrót przestrzelą
twoje ciało nabojami protein, usłyszysz:
Idź i nie grzesz więcej.

Mój Panie, to wątłe światło lampki oliwnej
rozświetla we mnie krwawe wnętrze.
Kosmos otwiera, gdy kołaczysz, gdy wołasz,
o cal Panie nasze słowa od bluźnierstw.

Spełnienie nocy. Spełnienie dnia.

Motyl trzepocze skrzydłami
na cembrowinach twoich luster
i jastrzęb wyszarpuje resztki trwania.

Szaleństwem było wznoszenie Wieży Babel,
skroplenie oddechu,
rozzczepienie niepodzielnego.
Zbieranie, odkrywanie, smakowanie, nazywanie,
dotykane obłądu.

Od narodzin do śmierci
w miriadach istnień przetacza się krąg.
Zamyka istnienia wiekiem trumny.
Klepsydą, kamiennym zapomnieniem,
bo czym jest pamięć w zapisach
jeszcze wznoszących Wieżę?



SPIS TREŚCI

Fletnia Pana	3
Oblicze Anioła	4
Oblicze Anioła II	5
Oblicze Anioła III	6
Całopalenie	7
A jednak życie	8
W celi Konrada	9
Wileńskie ruiny	10
Czas przestał istnieć	11
W środku samego siebie	12
Okolice serca	13
Krółom czapkę	14
Rany ziemi	15
Liryka liścia	16
Przekroczyć próg	17
Cel	18
Migotanie przedśionków	19
Królowie życia	21
List do Sylwii Plath	22
List do Sylwii Plath II	23
List do Sylwii Plath III	24
Studium portretowe	25
Miłość do Artemizji	26
Lipowy Chrystus	27
Smak morza	28
Negatyw	29
Źródło	30
Ptak w źrenicy	31
Blisko siebie	32
Świątynie głodu	33
Między nami	34
Puste stągwie	35
Uciekinier	36
Krzesło	37
We dwoje	38
Przesunięcie wieczności	39
Malując portret Norwida	41
Zwycięzca	42
Tutaj	43
Definicje wieczności	44

SPIS TREŚCI

Redakcja
Kazimierz Burnat

© Copyright by Wiesław St. Ciesielski

Zdjęcie na okładce
Wiesław St. Ciesielski

ISBN 978 – 83 – 60704 – 01 – 1

Wydawnictwo Literacko – Edukacyjne



50 – 417 Wrocław, ul. Traugutta 80
wydawnictwo@dds.pl





Wiesław Stanisław Ciesielski urodził się 13 maja 1959 roku. Mieszka w Słupsku. W swoim dorobku ma ponad dziesięć tomów wierszy, z których najbliższe są mu: *Głód* (Gdańsk 1986) – debiut, *Wieża Babel* (Bydgoszcz 2004), *Wszystkie iluzje* (Warszawa 2005) – uznany za najlepszą książkę poetycką 2005 r. na XXVIII Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu. Laureat prestiżowych konkursów literackich. Jego wiersze tłumaczono na język angielski, niemiecki, litewski i rosyjski. Jest inicjatorem konkursu poetyckiego im. Leszka Bakuley o *Laur Bursztynowej Róży* w Ustce. Redaktor Brulionu Literackiego *Ślad*. Krytyk literacki, prezes oddziału Związku Literatów Polskich w Słupsku.